

SZTUKA I NARÓD

Nº 6

Cena 3 zł

luty 1943

Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej

C.K. Norwid

SZTUKA A PAŃSTWO

(fragmenty z większej pracy pod tym tytułem)

I

Na płaszczyźnie życia społecznego główną zdobyczą człowieka jest wolność osobista. Skarb bezcenny, wysoki ideał, sprawdzian stopnia wykształcenia społecznego danego środowiska.

Państwo jest instytucją opiekującą się społeczeństwem, dbającą o organiczny kształt społeczeństwa. Państwo troszczy się o wolność osobistą jednostki, gwarantuje ją całym rozporządzanym przez siebie aparatem bezpieczeństwa. A jeśli państwo ogranicza wolność jednostki, jeśli ją niszczy? To właśnie czyni to z zaangażowaniem tego całego aparatu troskliwości w obawie o wolność jednostek innych. Więzienie jest o to aby mogła być wolność.

To truizm, akademickie gadanie! A jednak zapominamy o tym w wielu wypadkach. W tym zwłaszcza, gdy naprzeciwko siebie stoją: sztuka i państwo.

Bronimy się przed ingerencją państwa w dziedzinie sztuki, oburzamy się, gdy artyście zabrania się publikowania swych dzieł, a nawet zamyka się go do więzienia. Oburzamy się, bo nie widzimy żadnej płaszczyzny, na której mogłyby się

z sobą spotkać te dwa elementy tak różne: tu – produkt metafizycznego wzruszenia, a tam – urzędnicza profilaktyka, tu – indywidualne natchnienie, tam – zbiorowy mechanizm. Inne są cele sztuki – inne państwa. Sztuka jest czymś poza koniunkturalnym, zadaniem państwa jest kultywować lub zwalczać koniunkturę, ale patrzeć na nią bacznie. Wreszcie: sztuka istnieje w tej samej rzeczywistości, ale w zupełnie innym jej wymiarze

Gdy jednak mimo to wszystko te dwa elementy stykają się z sobą –

Gdzież to może być ten punkt zetknięcia? Jak go usunąć? Trzeba go wytropić, zdemaskować. My ten punkt czujemy dobrze. To idea.

Bo przecież napomnieliśmy właśnie, że państwo nie jest abstrakcyjnym mechanizmem. Że ten mechanizm porusza właśnie idea. Zła, doskonała, chamska, cudowna? – ba! – ale idea!

Państwo przechodzi ewolucje. Składają się na nie dwie zasadnicze fazy: okres walki i okres stabilizacji. Pierwszy jest okresem gromadzenia kapitału, drugi – życia z niego. W pierwszym okresie, gdy grupa społeczna (klasa? partie? gabinet?) dopiero doszła do władzy jeszcze nie

panuje nad całością społeczeństwa, jeszcze drży, po prostu drży przed ingerencją obcego państwa – wówczas postępowanie jej będzie nawet nacechowane brutalnością. Państwo z całą bezwzględnością będzie dążyło do sztucznego wywołania wszelkich objawów buntu przeciw regime'owi, a więc także przeciwko buntowniczej sztuce. Państwo rozporządzające armią czyni wówczas ten wielki zaszczyt poecie rozporządzającemu słowem, że się go boi. Konfiskuje mu tomik (czytany przez 50 ludzi), a jego samego wsadza do więzienia.

I państwo czyni słusznie*. Ludzie nowego porządku państwowego mają pewną ideę, w której misyjną wartość wierzą i starają się nasycić nią całe społeczeństwo. Kara spotyka tego, kto się przeciwstawił przyjmowaniu tej idei. Taki cel uświęca takie środki.

Walcząca idea państwowa przegrywa? Wówczas przychodzi i inna. Aż... wreszcie dochodzi do okresu krzepnięcia porządku państwowego. Państwo staje się tak silne, że już mu tomik czy obraz zaszkodzić wiele nie może. Wówczas państwo pozwala sobie nawet na luksus tolerowania sztuki opozycyjnej, antypaństwowej. Jest ona wysoką reklamą dla spoistości mocarstwa, w którym powstała.

Dopiero w tym stadium można mówić, że państwowotwórcza jest każda sztuka wielka bez względu na tendencje. W stadium pierwszym jest destrukcyjna i musi się spotkać z odporem państwowym.

I tu nie chodzi tylko o agitki antypaństwowe. Są dzieła sztuki, których postawa jest bardziej ideowo

zamaskowana. Nie ma jednak dzieła, które nie miałyby postawy żadnej. Jest ona mniej lub więcej świadoma, mniej lub więcej agresywna. Ale jest! I za nią trzeba ponosić odpowiedzialność.

Musi walczyć z maszyną państwową w ZSRR artysta o postawie personalistycznej, humanista w Niemczech, w Anglii – antyindywidualista. Bo każda twórczość deklaruje się ideowo, choć niejedna nieświadomie, przez dalekie zależności, wpływy, obciążenia. Można własną postawę zacierać, ukrywać, a przecież w końcu czujny odbiorca sztuki uchwyci ją jak dźwięk zatopionego dzwonu w sztuce Hauptmanna.

A jeśli ma się pełną świadomość własnej postawy, jeśli się ją organizuje przez ideę, czyż niesłuszne będzie ponoszenie za nią odpowiedzialności? Każda wielka sztuka jest buntem wobec zastanej rzeczywistości, borykaniem się z nią w trudzie ogromnym, wyszydzanym, zwalczanym, bolesnym.

Jeśli występuję przeciwko rzeczywistości afirmowanej przez dany system państwowy – to znaczy, że zdaję sobie sprawę z grożących mi konsekwencji. Mam wówczas wewnętrzne prawo do twórczości. Jeśli nie, jeśli zechcę napadać i zażądać, aby przeciwnik był pobłażliwy – będę wówczas tchórzliwym fanfaronem. Muszę wybierać.

Twórczość to nie tylko estetyczne samozachwycenie.

To także akt odwagi!

* To zdanie dedykuję mojej ciotce z Kawęczyńskiej i jej znajomej, żonie ziemianina – które uważają nas za totalistów i bolszewików.

II

A gdy już państwo decyduje się na opiekę nad sztuką?

System opieki nie ma polegać na jałmużnie, na żołdzie, lecz na odpowiednio zorganizowanej gospodarce kulturalno-artystycznej. To zagadnienie jest bodaj najważniejsze, inne wynikają z niego.

Państwo nie może komunikować się z artystą niezwiązanym, dochodzić do porozumienia systemem – „niech pan złoży podanie”, a tym bardziej w formie posiedzeń odpowiedniego urzędnika z natarczywym artystą. Zabrakłoby urzędników i cierpliwości. Wyłania się więc potrzeba konsolidacji.

Konsolidacja – oto słowo symptomatyczne dla naszej epoki.

Artyści we własnym interesie muszą stworzyć organizację, nie polityczną, ale związek umożliwiający porozumienie, ustalenie własnego frontu, wytyczenie metod działania. Jako całość stworzyć mogą siłę, z którą trzeba się będzie liczyć, na której będzie zależeć. A tam, gdzie jest siła – wiadomo: porozumienie osiąga się łatwiej.

Założmy, że związek artystów stał się faktem dokonanym. Artyści wszystkich dziedzin sztuki tworzą zwarty front, kwestia przewodnictwa została rozwiązana szczęśliwie. (Z konkurencją poszczególnych „klanów arystokratycznych” trzeba się liczyć.) Rada Artystyczna czyli Kierownictwo Federacji Artystów, upoważniona przez członków przeprowadza rozmowy z odpowiednimi czynnikami państwowymi. Zasadą jest w tym wypadku mieć cały szereg projektów, szkiców, aby nie być pytany, lecz pytać. Pierwsze zagadnienie podjęte przez Radę Artystyczną to zagadnienie materialnych warunków artysty.

Założenie: artysta powinien zarobić na sobie sam. Artysta jest artystą. Nic bardziej demoralizującego, rozbijającego duchowo jak praca zarobkowa, wszystko jedno jaka, a obok niej twórczość, traktowana z konieczności marginesowo. Umożliwienie pracy swobodnej nie jest równoznaczne z przyznaniem stypendium. Zasada: pomoc, nie ułatwienie w skutkach demoralizujące. Pomoc pociąga za sobą konieczność całkowitej reorganizacji rynku wydawniczego. Stworzenie wydawnictw korporacyjnych mogłoby zagadnienie częściowo rozwiązać. Artysta zależał dotychczas całkowicie od wydawnictw prywatnych, które w pracy swej posługiwały się tylko kalkulacją kupiecką. Szły więc rzeczy obliczone na smak większości, aby uniknąć ryzyka. W wydawnictwach korporacyjnych kwestia konsumpcji literackiej nie może być ominięta, ale decyzja „puszczenia” utworu zależeć będzie od estetycznej wartości dzieła. W każdym razie niezależnie od stopnia powodzenia dzieła wśród odbiorców – autor otrzymuje co mu się należy. Wydawnictwa korporacyjne to instytucje w pewnej mierze eksperymentalne i dlatego stoi przed nimi możliwość deficytu. Tu właśnie piękna rola państwa. Ponieważ subsydiuje ono cały szereg instytucji artystycznych, w uzyskaniu subsydium dla wydawnictwa związkowego nie powinno być trudności.

Kwestia upoważnienia artysty zostałaby w ten sposób w dużym stopniu pchnięta naprzód. Możliwość wydawania prywatnego nie jest przed artystą zamknięta. Decyduje się on na wybór wydawnictwa posługując się zwykłym rachunkiem. Nikt o to pretensji mieć do niego nie może. Rola związku nie kończy się na akcji wydawniczej. Pomagać on może przez stworzenie instytucji, mającej na celu opiekę bezpośrednią.

Coś w rodzaju „Bratniej Pomocy Artystów”. Nasuwa się jeszcze projekt zorganizowania klubów oddzielnych dla literatów, malarzy, rzeźbiarzy etc., w których artysta znalazłby książkę, czasopismo, rozrywkę, no i bufet. Klub taki stwarzałby atmosferę jedności, zbliżał przez dyskusję, prelekcje, przez teatr itp. Idąc dalej, wyobrazić sobie można znajdujący się przy związku wydział prawny, który broniłby skrzywdzonego artystę na terenie jego pracy twórczej

W omawianiu pomocy dla artysty ciężar zagadnienia leżał na barkach związku. Działanie państwa ograniczyliśmy do pomocy finansowej dla poczynań korporacji. Środki jakimi państwo rozporządza dają mu ogromne pole do popisu. Idea stworzenia choćby Domów Artystów. Domy te mogłyby się znajdować pod opieką związku, z czasem przejść zupełnie w jego posiadanie. Nagrody państwowe! Najbardziej szlachetna i wydajna forma pomocy artyście. Konkursy! Konkursy na skalę większą, obejmujących zainteresowanych nawet za granicą. Rywalizacja, ambicja osobista twórcy, wysiłek skupiony w jednym punkcie – wszystko to przyczynia się do wzrostu nasycenia życia kulturalnego. Państwo w trosce o poziom tego życia może zaprząć artystę do pracy, której podejmie się on chętnie. Rozumiem przez nią udział bezpośredni artysty w akcji, nazwijmy ją – pionierską. Artysta w wozie „Akcji kulturowej” objeżdża miasta i miasteczka polskie. Przez kontakt osobisty, przez słowo żywe, rozwija i budzi zainteresowanie. W ośrodkach kulturalnie dojrzałych organizuje wieczory czy poranki literackie, niekoniecznie własne. Trafia do szkół, związków, organizacji i instytucji społecznych. Robi to literat, malarz, rzeźbiarz. Pod hasłem ekspansji artystycznej państwo wysyła na prowincję „teatry na kółkach”. I znowu rola

podoba. Artysta czuje się potrzebny, widzi, że twórczość jego jest kształtowaniem życia ogólnego, że jest usprawiedliwiona. Artysta czuje się podniesiony, oparty o zaplecze nie grupy literackiej jak było dotychczas, ale o ścianę trwalszą, szerszą. Niechęć do form życia organizacyjnego zniknie, bowiem zrozumie on, że tylko ta forma zapewnia jego własny rozwój. Artysta-samotnik samotnictwo swe zawdzięczający często rozgoryczeniu i trudnym warunkom życia, być może stanie się entuzjastą grupy.

III

W jednym wypadku rozgrywka z państwem nie daje satysfakcji, nie realizuje swojej potencjalnej słuszności. Oto gdy w ferworze koniunkturalnej walki państwo zatracą swoją ideę, gubi ją, rozmienia na drobne – a mimo to jeszcze siłą inercji pracuje aparat państwowy. Ma wtedy miejsce zjawisko podobne kładzeniu kawałka drzewa pod igłę maszyny do szycia, gdy zabrakło materiału i gdy jeszcze chce się koniecznie coś szyć.

Znamy to aż nazbyt dobrze. Taka była nasza rzeczywistość państwowa w minionym okresie międzywojennym. Pamiętamy dobrze te czasy, w których już nie wiedzano co popierać, co konfiskować, kogo zapraszać do akademii, kogo wysyłać do Berezy. Konfiskowano komunistyczne wiersze Łobodowskiemu i nacjonalistyczne Pietrkiewiczowi, zaproszono do akademii Struga i Roztworowskiego. Przykłady można mnożyć. Jednocześnie artysta także zatracił ostrość wyrazu ideowego.

Tuwim pisywał na zmianę defetystyczne wiersze o rzucaniu karabina i afirmacyjne o Gdyni. Wielki talent Czechowicza wyszarżał w oscylacji pomiędzy wieszczaniem zagłady, smutną

beznadziejnością a fanfarami o Zaolziu i Piłsudskim. I tak było u większości ludzi tworzących. To nie były ewolucje, dojrzewania, rozczarowania. To był osobliwy przekładaniec, rozgardiasz ideowy. Mieliśmy bardzo liczne talenty i bardzo nieliczne dzieła pisane z talentem. Nuda ideowa stłamsiła sztukę.

Do wielkiej sztuki zabrakło wielkiego starcia ideowego, w którym giną słabi i krzepną silni.

Nadchodzą jednak czasy wielkiego starcia ideowego. Mający zdecydowaną postawę opartą

o uniwersalistyczny pogląd na świat – wiemy, że mamy także wewnętrznych przeciwników mocnych, którzy być może, przez pewien czas będą rządili państwem. Starcia nie będziemy unikali.

Wolność? Tak, ona jest naszym celem. Lecz rozumiana nie jako prawo do zrzucania z siebie odpowiedzialności za rzeczywistość, lecz jako służba idei.

Jan Marzec i Karol Topornicki
[Wacław Bojarski i Tadeusz Gajcy]

NIEZNANY LIST NORWIDA

Cyprian Kamil Norwid – wychowawca trzeciego już pokolenia literackiego w Polsce – jest jednym z nielicznych w naszej tradycji kulturalnej pisarzy, którzy zachowali pełny autorytet i siłę atrakcji.

Niesłabnące zainteresowanie pismami Norwida skłania nas do ogłoszenia jego listu z r.1869, znalezionej niedawno w jednej z większych bibliotek prywatnych.

List ten – ciekawy przyczynek do oświetlenia stosunków emigracyjnych – zainteresować może również badacza filozofii narodowej Norwida, jak też i każdego uważnego czytelnika jego pism, przez podjęcie i sformułowanie zagadnień nurtujących w całej twórczości poety

Napomnę, tu choćby o problemie człowieka – quidama dźwigającego bezimiennie za innych ciężary spraw codziennych i wiecznych – problemie żyjącym w „A Dorio ad Phrygium”, „Za kulisami”, „Quidamie” i innych.

List, jak zwykle w korespondencji poety bez nagłówka, pisany był prawdopodobnie do Bronisława Zaleskiego, historyka i działacza emigracyjnego, jednego z najczęstszych korespondentów Norwida w tym okresie. Wymieniony parokrotnie Hieronim Kajsiewicz, nawrócony pod wpływem Mickiewicza wolnomyślny radykał, a późniejszy znakomity kaznodzieja i założyciel w roku 1842 „Zgromadzenia Zmartwychwstania Polskiego”.

W dopisku wspomniany Leonard Rettel, literat i towiańczyk, z którym Norwid korespondował do ostatnich lat życia.

W przytoczonym tekście zachowaliśmy oryginalne przestankowanie i pisownię norwidowską.

Wyrazy podkreślone w rękopisie drukujemy rozstrzeloną czcionką.

Juliusz Oborski [Stanisław Marczak]

LIST DO BRONISŁAWA ZALESKIEGO

Dopiero w Poniedziałek wieczorem czytałem list otwarty X. Hiero-a Kajsiewicza – piękny, jak pierwsza(?) Apologetyki – smętny, jak wszelkie owoce nadużycia to jest; jak wszystko co się w Emigracji robi dobrego i niedobrego.

Mniemanie moje jest: iż to, przeciw czemu osobiście X Kajsiewicz powstawa pochodzi radykalnie właśnie że i z tego co On i o każdy w Emigracji czyni. To jest – że wszelki obecny patriotyzm Polski dlatego jest porywczy, że jest p e r s o n a l n y a dla tego właśnie personalny, iż cokolwiek bądź najlepszego robi się wszystko się nie inaczej jak personalnymi drogi robi. Sensualni = mystycy nazywają taką monstrualność: w c i e l e n i e m !...?

Zaiste, jest to i wcieleniem ale lenistwa ogólnego, lenistwa sensu publicznego, lenistwa ciał zbiorowych... wcielenie takie, jakie miał i miewa u siebie w przedpokoju każdy szlachcic na zagrodzie mający k o g o ś ... mający jak to mówią s w o j e g o = C z ł o w i e k a do napisania za niego listu, do pomyślenia za niego o interesach, do pojechania do niego ect... mający jak to mówią s w e g o = K s i ę d z a do pomodlenia się za jego duszę i jego powodzenie ect... słowem: jest to wcielenie swych ciężarów w trudność cudzego położenia – działanie, na kończynach, którego z jednej strony pozostawia wyniszczenie, pojęcia obowiązków, z drugiej, wyniszczenie sił.

Radykalniej i systematyczniej nie można doprawdy wytępić żadnego społeczeństwa jedno sposobem powyżej określonym.

Im, albowiem czyje siły wielostronniej zaprzątnięte będą, a czyja miłość żywszą; tem rubaszniejsze natarcia wymagań i tem więcej ślepa nieogłędność – działanie albo raczej budowanie przeciw wszelkim konstrukcji prawom a przeto nieustanną płodzące ruinę.

Dla tych to powodów nie można już dziś w Polsce odpowiedzieć np: „tego a tego wymagać się nie godzi od X albowiem X jest księdzem” – i powiedzieć nie można „to a to , należy aby dopełniali ci a ci z powodu iż w tej chwili rzecz tej natury do nich należy”. Tego mówię powiedzieć nie można: albowiem nikomu tam wcale o to nie idzie co? Kto jest ani co? Ci lub owi pełnić p o w i n n i , tylko idzie o to, ażeby to było zrobione jak najprędzej przez kogokolwiek, przez pierwszego lepszego człowieka patriotę i koniec.

Tak samo woła [nieczytelne] odpoczywając u siebie „hej!... w y p c h n i j = t a m = C z ł o w i e k a z posełką do sąsiada po to lub owo...” i nie inaczej traktowane są sprawy publiczne a przeto całą swą wartość publiczną tracą radykalnie z powodu iż trudności i zadania historyczne albo socialne nie dla czego innego właśnie człowieczeństwu są przeznaczone, jedno, aby j e d e n a s t e p r z y k a z a n i e – przykazanie = nowe – przykazanie, bez którego cała historia Chrześcijaństwa przepadłaby i zmarniała: aby mówię to przykazanie pełniło się. I jeżeli historia trwa po Chrześcijaństwa przyjscia, to ku temu trwa aby społeczne miłowanie i ponoszenie wzajemne brzemion w arcydzieło widome organiczne i całe urobiły się.

Z tych zasię przyczyn, gdyby mi kto stręczył, że ojczyzna, która moja /:np Polaka:/ wyswobodzić się może skoro wielu świętych i niepospolitych ludzi tam i owdzie ona zużyje i zniszczy na wyręczanie bryłowatych mas – albo, jeżeli by mi stręczono, że nie wyswobodzi się ojczyzna, tylko parę maleńkich zrobi kroków skoro bryłowate i ciężkie masy i umysły do publicznych się poruszą obowiązków; zaiste, że wybrałbym zawsze to drugie działanie nie owe pierwsze.

Sensualni mysticy, pierwsze wolą – albo – wiem mystycyzm sensualny w Emigracji jest tylko tym samym tych samych szlachciców, wyręczanych przez „ich c z ł o w i e k a” kierunkiem. Dla nich, wszystko co nie g w a ł t o w n e wydawa się doktryną...! Zaś wyraz d o k t r y n a zaś pomieszałi sobie umyślnie w mózgach z wyrazem l i t e r a aby tym drugim tem mniejsze mając pojęcie, tem personalniej życie i wiedzę pojmować.

Dla Z a k o n u K s i ę ż y Z m a r t w y c h w s t a n i a cieszy mię bardzo piękny apologetik Wielebnego Księdza Kajsiewicza... ale, dla samego z m a r t w y c h w s t a n i a , to mi jest bardzo smutno, iż to zawsze też sama historia n i e l e t n i c h s w a w o l n i k ó w w y r ę c z o n y c h p r z e z w u j a s z k a d o b r o d z i e j a w tem co do ich baczności i obowiązku należało było.

Cyprian Norwid 1869

P.S.

Donoszę Ci kochany Bronisławie, że szanowny i umiętny Wny L. Rettel nie jest w stanie ani mnie rozumieć ani oceniać. R o z u m i e ć, dlatego, że należy on do szkoły, która s w o j e = p i g u ł k i na wszystkie lubo różne i liczne choroby każdemu zalecać jest gotowa jak to niektórych pacjentów ulubionym jest zwyczajem. O c e n i a ć zaś: dlatego nie jest w stanie, iż to uczucie u niego trwa tyle tylko i dopóty, dopóki się czuje pod wrażeniem – nie jest więc uczuciem jego.

Jest to wszelako zawsze, jeden ciężar mniej skoro się spotyka człowieka zacnego i umiętnego, który nas pojąć i ocenić nie jest w stanie. Ale w Emigracji pisząc o tem: n a l e ż y z a r a z d o d a ć w i e l k i m i l i t e r a m i , że można być zacnym i umiętnym i nie móc kogo drugiego pojmować: cela arrive et cela doit arriver¹.

FRAGMENT PIERWSZY POEMATU PT. „WIDMA”

Czy znasz ten kraj pod soplami zczerniałych gorących gromnic,
skrzypiący dawniej żywicą – dzisiaj błonami skrzydeł
nietoperzy ogromnych?
Czy znasz ten kraj,
gdzie ścieżkami westchnień
płyną nieżywe
kwiaty zwęglone i kości zwierząt łąkowych i leśnych

Gdzie płaski wypasał krajobraz
stulone uśmiechy wiossek
i kwitły długo przy ustach łąki łagodne jak flety –
schodzą do jezior z siarki
i węgla lasy brzoźowe.
Stały w martwym powietrzu głosy psalmistów letnich,
kiedy czerwony tulipan ze strzechy wyrósł drzemiącej
i roił płatki gorące.

Miasta pogięte jak muszle na czarnoziemnych wybrzeżach,
w których się echo strzępiaste wylewa pod strumień wiatru –
oto latarnie uliczne w ślimaki skręcone leżą
i wieże cieką ku ziemi w ceglasty zimny stalaktyt.
Marszczy się skóra globu, lasami zapada i pęka,
w szczelinach grzmoty podziemne niebo kaleczą niskie,
ziewają krwiste zachody przy ziemi rozwartym pyskiem
i czarne słońce zmałało do kształtu serca człowieka.

Ryby na rzekach z fioletu wypływają brzuchami do góry,
jawią się niebom obcym geometryczne stygmaty,
a to zapowiedź złowieszcza,
bo u serca dzwonów wiszą już nietoperze
i znaki z morowego powietrza
jak obłoki wędrują nad świtem.

Ptaki nieznane nikomu po długich roślinach świstu
spadają w dłonie łun
jak w sieci listków.
Jabłko ziemi błędzące w zdwojonych mocnych obrotach
o obręcz blasku ociera sypką sosnową sierść.
Rwie się niebieski bulgot
i pustkę złą ustokrotnia,
pustkę o wnętrzu – płomienia.

W płomieniu wklęsłym i szklanym mówią – śmierć.

Przymknięte są oczy pożarów, z pod których łyż jak katedry –
łyż wyściełane wrzosami miękkie i dziwnie ciche –

a są to farby żałobne rozłożone w skrzydłach motyli,
a są to dźwięki bolesnej muzyki.

Pada śmiertelny deszcz z gromnic wysokich,
bezańskie zwierzęta straszą między nocą a dniem,
ślepną źrenice ludzi pod cięciem puchowej lotki
ptaków niebieskich przemienionych w złe.

A domy łamią się lekko, domy w których zamieszkał człowiek
naszeptujący do kopców cmentarnych u granic –
Ludzie o twarzach z wosku i oczach łagodnej łani
czekają na gałązkę oliwną, a może
na gałązkę zwykłego śpiewu.

Skłębiona puchnie darń,
skwierczą rozwiane knoty gromnic,
noce wtulone w skrzydła nietoperzy ogromnych
kołyszają kraj.

Ten kraj.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

BALLADA O STAJENCE

Matka pełna uśmiechu i chemii
dłonie zamyślała w balii
co wieczór... a nad dłońmi tymi
trzej królowie spóźnieni płakali.

Nawet aniołki. Gipsowe i krągłe
na kolędach jak wielbłądach fruujące,
krótkie szatki haftowane ogniem
na jej ręce zrzucały w locie.

Woda nie była zwykła. Ze źródeł,
gdzie kadzidło rośnie i mirra,
palma także. I w liściastej urnie
Bóg się mały w piosence obmywa.

Przychodziły do niej z pustyni lwy płowe
gasić czerwone języki,
po głosie ich, tęsknocie ich – człowiek
zjawił się śpiewny i zwykły.

Na sianie szemrzącym, na szmerze
obok róży cichej i bydła
leżał. Lecz róża z cierniem była.

Trzej królowie chłostali zwierzęta,
ramionami ku gwieździe śpiewali
zamyśliła dłonie matka uśmiechnięta
wonne płótno na zły całun kołysała w balii.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

POWRÓT

(fragment)

Pociąg ruszył. W tej chwili z bardzo daleka doszedł go krótki sygnał kolejki elektrycznej jadącej naprzeciw. Przypomniała mu się Anna.

Jeszcze kiedyś tam w Warszawie – Jakże to dawno, jak dawno! Kiedyś tam położyła mu głowę na piersiach jakoś tak mimo woli, bezwiednie pewnie. I nagle zmarszczyła czoło, zasłuchała się w coś uważnie. Westchnął wtedy niecierpliwie i to westchnienie wydobyło się jakimś śmiesznym głębokim świstem. Dotknęła jego marynarki po prawej stronie delikatnie, małutkimi palcami i podniosła głowę:

– Wiesz, nie śmiej się ze mnie tylko – wiesz, wzdychasz zupełnie tak, jak kolejka elektryczna.

Nie śmiał się. Anna mówiła to... tak pogodnie, jasno. Mój Boże! Wszelką dobro poznawał chyba zawsze razem z odrobiną naiwności. W końcu zatracił nawet między nimi granicę. Pluł wtedy krwią.

Kolejka elektryczna była już blisko. Zatrąbiła mocniej i przeleciała z hurgotliwym dudnieniem.

Tamto wszystko – Ach, tamto wszystko działało się tak nieprawdopodobnie dawno. Co więcej! Działo się w jakimś innym zupełnie wymiarze. Wszystko, co pamięta jeszcze sprzed wyjazdu do sanatorium działało się przede wszystkim aż rok temu prawie, poza tym w stanie bolesnego zmęczenie zniewalającej apatii, jak w złym śnie, z którego się co chwila budzi i nie ma się siły obudzić ostatecznie. Z jakimże trudem przyjdzie przyzwyczajając się na nowo do tamtych warszawskich spraw. Kiedy myśli o tym, drży lekko z niecierpliwości. Dotknąć się wszystkiego jeszcze, inaczej zupełnie, na nowo. Tak dosłownie, namacalnie właśnie stwierdzić, że wszystko

zachowuje się, wygląda, istnieje inaczej zupełnie, niż przed rokiem. Inaczej, bo pod dotknięciem niecierpliwych, zdrowych rąk. Radośnie podniecony cieszył się na tę próbę rzeczy.

Zaczął wyglądać oknem. Koniec sierpnia prażył wściekle słońcem. W powietrzu zupełnie pusto i duszno. pociąg nadbiegał teraz ku linii lasu liściastego, gdzie barwy więdnących liści falami czerwieni i żółtości na przemian zapadały w lekko zieloną czerń.

Wychylił twarz pod iskry lokomotywy.

Znów z przeciwnej strony narastający stukot: tym razem – śpiew. Przejeżdżał pociąg towarowy naładowany wojskiem. Drzwi wagonów były otwarte na wylot, dachy przystrojone gałęziami. Na brzegu, z nogami opuszczonymi w dół siedzieli żołnierze. Nad nimi stojąc tłoczyli się inni. Zdawało mu się, że wszyscy oni mają rysy twarzy jednakowo ściśnięte, wyostrome. Czym? Niecierpliwością, zaciętością? Nie potrafił sobie tego uprzytomnić w krótkim przelocie ceglanych pudeł. Śpiew tylko był jakiś przykry. Nie śpiewali nawet, a podbijali rytmicznie, chóralnie jakieś słowa przeciągłe, gardłowe. Przez chwilę doznał nawet wrażenia, że to nie śpiew przecież, lecz zbiorowy urywany krzyk ludzi domagających się czegoś gwałtownie i niezrozumiale. Otrząsnął się. W dali ginął przecież ostatni wagon najeżony zielonymi gałęziami, ugiętymi radośnie pod słońce i wiatr.

Ogarnęło go lekkie uniesienie.

– Tak jechać – myślał. – Tak jechać i śpiewać, nie myśląc o niczym zupełnie. Wiedzieć raz na zawsze, że najważniejsza prawda i sens jest gdzieś tam na przedzie. Trzeba tylko do niej dojechać,

dojść, dostrzelać się. I już. Takie proste! Takie pięknie proste!

Hamulce zazgrzytały. Jakaś stacja.

Nie wychodził z wagonu. Stał w oknie; twarz i dłoń łakomie wystawiał na słońce. Po raz pierwszy od roku niemal pozwalał sobie na to niekontrolowany sanatoryjnym zakazem. Potęgowała się w nim coraz bardziej niewypowiedziana radość. Czuł, że to nie krew rozgrzana słońcem, ale właśnie to jakieś niewyraźne szczęście rozchodzi mu się pod skórą falami ciepła.

Gdzieś blisko rozległ się nagle jakiś zgiełkliwy hałas. Zajazgotało tłuczone szkło. Z bufetu stacyjnego wybiegli trzej żołnierze, śmiejąc się hałaśliwie. Dwaj byli wysocy, zwaliści; piszczełi wesoło czekającym dyszkantem. Trzeci był mały, mizerny, zmięty; śmiał się rehotliwie, zadowolonym basem. Za nimi wybiegł kelner.

Mały zatrzymał się, przestał się śmiać. W rękę trzymał małą harmonijkę.

– No chłopaki, no jeszcze go!...

Rozciągnął szeroko mieszek harmonijki. próbowali zapijaczonym chórek:

– Nigdy do zguby,

Nie przyjdą Kaszuby...

Urwali, małemu brakło już zupełnie głosu, chrypiał. Uderzył harmonią w plecy wyższego towarzysza. Zanieśli się znów śmiechem spoceni, weseli.

Kelner machnął ręką. Pociąg ruszył.

– Hej chłopaki, hej – no!...

Stał ciągle w oknie i mrużył oczy pod słońce. Podniecenie, które potęgowało się w nim bez przerwy zaczęło przechodzić w niewytłumaczone zdenerwowanie.

Po chwili pociąg zaczął nagle zwalniać. Podjechał do stojących za stacją wagonów

towarowych ubranych zielenią, jak poprzednie, widziane w drodze. Zaczęły się jakieś nudne manipulacje parowozowe. Na wprost jego okna tłoczyli się także w szerokich drzwiach nowego wagonu żołnierze. Po chwili zorientował się, że byli to zmobilizowani chłopci. Twarze mieli nieruchome, bez żadnego wyrazu. Oczy tylko biegały im ciągle, jak u węszących psów, musieli być zresztą niewyspani. Dwóch leżało na podłodze i gryzło w zamyśleniu długie słomki.

Zrobiło mu się nagle czegoś wstyd. Wziął z ławki gazetę i podał przez ono najbliższemu żołnierzowi. Tamten spojrzął jakoś łaskawiej.

– Dziękuję! – zasalutował. – Co tam piszą?

– Na razie cisza. Wyczekiwanie. Zdaje się, że są zupełnie zaskoczeni naszą gotowością, odpowiedział skwapliwie.

– Ba! – niewyspany żołnierz bąknął wieloznacznie, bez intencji.

Oba pociągi zaczęły ruszać w przeciwnie strony. Dwaj leżący na ziemi żołnierze wypluli teraz słomki i zaczęli się kłócić o butelkę lemoniady. jeden tylko czytał gazetę; pozostali patrzyli bezmyślnie w puste niebo.

Skwar, skwar ciągle ten sam mimo opadającego już słońca piekło nienawykłą skórę przyjemnie, aż do bólu, wciskał się w zmrużone powieki, wzmagając tętno w skroniach. Koła pociągu stukwały cichutko, równo z uderzeniami tętna.

– An-no, An-no, An-no! – powtarzał w myślach.

Z trudem odróżniał mijane stacje. Wszystkie były do siebie podobne. Na każdej panowało gwarne podniecenie, bezład, tłok. Szczególnie pełno było wszędzie poborowych chłopów, którzy żegnali się z rodzinami. Niektórzy markotnie kłopotali się, obłapiając ciągle dziecko czy żonę; coś tam gderali, o czymś napominali zapobiegliwie,

sklamrząco i nudnie. Większość jednak żegnała się zawadiacko, pioruńsko, po pijanemu ze śpiewem.

– Jestem zdrowy! Jestem niemal zupełnie zdrowy! – powtarzał sobie co chwilę w myślach z uporczywą satysfakcją.

Poczuł teraz lekkie rozleniwienie, miękkość przyjemną we wszystkich mięśniach. Usiadł na ławce i przymknął oczy. Nagle przypomniała mu się znów Anna. Bardzo często, gdy ze zmęczenia przymykał oczy, chwyciła go szybko za ramiona i potrząsała prosząco.

– Otwórz, no, otwórz oczy!

Uprzytomnił sobie teraz nagle, dlaczego zawsze prosiła go tak gorliwie, jakby przestraszona. Wyglądał pewnie w tej chwili, jak trup. Otworzył szybko oczy i roześmiał się swobodnie.

– Zgłoszę się pewnie na ochotnika do wojska! – pomyślał szybko, niemal niespodziewanie dla samego siebie i poczuł się nagle bardziej szczęśliwy.

– Warszawa!

Na dworcu nie chciał oddać walizki tragarzowi.

Coraz bardziej odczuwał kleistość w mięśniach. Chciał właśnie przewyciężyć to podjęciem niewygodnego wysiłku, jakim było dźwiganie wielkiej, jeszcze ojcowej walizy.

– Psiakrew! Rozklejam się nerwowo! Stąd to wszystko! – pomyślał.

Na dworcu wschodnim panował już tumult ogromny. Właściwie całą tę płataninę i rozgardiasz odczuwał jako całość, smakował zmęczonymi nerwami jej atmosferę. Natomiast nie potrafiłby pewnie opisać ani jednego wypadku składającego się na tę całość rozbieganą, rozkrzyczaną, klnącą, brzękliwą, bezładną. Wzmagało się w nim podniecenie, wyczulone oczekiwanie na coś zupełnie jeszcze niewyobrażalnego nawet.

Radosny lęk – chyba tak to mógł w tej chwili nazwać. Kiedy miał sześć lat obudzony nagle w środku nocy, oczami na półsklejonymi snem widział szybko przebiegającego przez pokój postacie. Długo nie mógł nikogo rozpoznać w tych fantastycznych figurach człapiących boso po podłodze, ubranych biało lub kolorowo. Ciągle gasło i zapalało się inne światło, po suficie wahały się koliste odbicia abażurów i kloszów od lamp. Przybliżały się i oddalały zirytowane, ale szeptliwe głosy. Dopiero nad ranem dowiedział się, że urodziła mu się siostra. Przez całą noc wtedy, nawet już po ponowny zaśnięciu czuł taki lęk radosnego oczekiwania. Jak teraz.

– Pójdę do wojska! Pójdę do wojska! – myślał już w tramwaju. Bezwiednie wyprężył się i zacisnął mocniej pięć zwiniętą na rączce walizy.

– Tak, tak! – powtarzał sobie. – To chyba już teraz najważniejsze żeby znaleźć coś, przed czym można odrzucić to wszystko pogmatwane, zmięte, bolesne i tak po prostu wreszcie wyprężyć się tylko. I to pewnie taka właśnie jest prawda!

Wysiadł z tramwaju. Słońce już przygasało, ale ciągle jeszcze było duszno. Kurz wisiał niemal bezwładnie w nagrzanym powietrzu. Ulicą przechodziły szybko oddziały cywilów wracających do kopania rowów przeciwlotniczych.

Zaczął iść szybciej. Oddychał krótko. Z emocji. Dwa razy przystanął na chwilę, żeby przełożyć walizę z ręki jednej do drugiej. Koło domu musiał zwolnić tempo. Na schody za to niemal wbiegł. Jedno piętro, połowa drugiego. W pośpiechu tłukł walizę o poręcz.

– Co to? Paan? – zapiszczał ktoś nad nim.

Spojrzał do góry. Pół piętra wyżej stała służąca, trzymająca w ręku kubeł od węgla.

– No, tak, tak! Ja! – zawołał wesoło.

Kubek upadł z brzękiem na ziemię. Zaaferowana schwyciła klucze i zaczęła kręcić niezdarnie w zamku. Przez dłuższą chwilę nie mogła sobie jakoś poradzić. Stał koło niej dysząc niecierpliwie.

- Może już lepiej zadzwonimy! - rzekł i nacisnął żółty guziczek. Przytrzymał palec trochę za długo. Słuchał tego dźwięku z nieukrywanym zadowoleniem.

- Brzmi jak pierwsza nuta „Rapsodii” Liszta - pomyślał dosłownie jak przed rokiem.

- Co tam? Znów Zosia zapomniała kluczy? - głos za drzwiami gderliwy, kochany. Matka.

- Władek! Bój się Boga! Przyjechałeś?

- Przyjechałem, przyjechałem! Wcale nie udaję! No, niechże się mama ze mną przywita wreszcie!

Cały świat zamyka się teraz dookoła niego dwojgiem ramion. Cały świat - jeszcze przed chwilą daleki bardzo, a teraz tuż - tuż, blisko, pachnący kuchnią, tanimi perfumami, łatwy jakiś i tak spokojny, tak spokojny! Kiedyż by indziej można było zacząć mówić o tym wszystkim ogromnie trudnym i niemożliwym do udźwignięcia, jeśli nie teraz właśnie? Tylko przeczekać przez chwilę tę niespodziewaną czułość dochodzą już do krtani.

- No tak! Tak! Ale dlaczego przyjechał, Władeczku? Bójże się Boga! Nic nie pisałeś! Skąd ci to, tak nagle... bez porozumienia z nami,

Usiłuje łagodnie uspokajać:

- Ależ mam! Chciałem wam po prostu zrobić niespodziankę. Jestem już przecież zupełnie zdrow.

- Pewnie, pewnie! Ale nie trzeba było! W taki czas! Musisz teraz ogromnie na siebie uważać.

- Ach, cóż mi tam! Czuję się świetnie. Trochę mi tylko gorąco.

- No, widzisz - Ruchem ręki proszącym zatrzymała w połowie jakiś wyrzut matczynej

- Tyle ci chciałem powiedzieć! - zaczyna.

- No! - przyzwala matka i już jakby chce słuchać, ale twarz ma ciągle zaaferowaną, myślącą o czymś innym, ręce jej przy tym poruszają się nieustannie ruchami niepotrzebnymi, ale przecież pełnymi jeszcze ciągle jakichś czynności przerwanych nagle.

- Poczekaj no! - zrywa się nagle z krzesła. - Tarka mi zaschnie bo zaczęłam na niej trzeć kartofle na placki! - i biegnie do kuchni zapobiegliwym truchtem. Po chwili już słychać z kuchni:

- Ależ dość, dość! Niech sobie teraz dochodzi na wolnym ogniu!

Przez chwilę jest mu trochę przykro. Ale przez chwilę tylko. Potem jest jeszcze lepiej.

O czym tu jej mówić? I po co? Żeby pomogła, żeby część tego ciężaru wzięła na siebie? A po co? Przecież już zrobiła, co mogła zrobić najlepszego. Tak mistrzowsko, choć mimowolnie zaaklimatyzowała go znów w normalnym życiu, wciągnęła go w porządek tych nowych zapomnianych już spraw: między to „uważanie na siebie” a troskę o kartoflaną miazgę. Wszystko bolesne i trudne znika nagle tak łatwo a tak naturalnie przecież, choć nie zdążył się zwierzyć z niczego, niczego z siebie nie zdążył zrzucić.

Trzasnęło.

Zorientował się od razu, że to drzwi od pokoju ojca zamknięte mocno. Wstał z krzesła. Słuchał każdego wolnego kroku na skrzypiących zelówkach. Wszedł ojciec. W pierwszej chwili spostrzegł, że ojcu przybyło jeszcze trochę siwych włosów. Ale tak jakoś ładnie, potrzebnie. Ojciec zatrzymał się przy drzwiach. Zaczął pstrykać grubymi niezgrabnymi palcami, jak zwykle w pewnych

chwilach. Oczy mu się zaświeciły. Zanim jednak podszedł do syna musiał zadać to pytanie:

– A ty tu skąd?

Tak właśnie musiał. Ta konieczność przestała już zresztą robić przykre wrażenie, choć dopiero od niedawna. Dopiero od niedawna zrozumiał, że przecież ojciec musi panować nad łatwym wzruszeniem w jakiś sposób szorstki, niezgrabny nawet. Musi. Czasem myślał dlaczego jednak matka nie musi. Ach, matka! Co za porównanie!

– Przyjechałem. Myślę, że już mi wystarczy tego wszystkiego. Muszę zresztą wrócić do szkoły.

– Ach, no tak, tak! Ale miesiąc jeszcze mógłbyś posiedzieć. Pieniądze przecież jeszcze, dzięki Bogu, są. Chciałem ci nawet dzisiaj przesłać.

Ojciec po przywitaniu prztyka dalej palcami

– No, nie! Nie trzeba było. Mogłem już tego zupełnie dosyć. Zaczęło mi to się wreszcie wściekle nudzić. To najlepszy dowód, że jestem prawie zupełnie zdrowy.

– Hm, zobaczymy, zobaczymy! Porozmawiamy jeszcze o tym. Tymczasem przez parę dni możesz być na urlopie. No i jakże się czujesz? Odmę miałeś dawno?

– Tydzień temu. Udaje się, powiadam ojcu, doskonale. Przyzwyczyłem się już do niej, wcale mi nie przeszkadza.

Szurgot pantofli z kuchni.

– A, dajże mu spokój! Chłopak zmęczony podróżą. Siadajcie. Zaraz będzie podwieczorek.

Wtedy dopiero pyta o brata:

– A Emil?

– Nie był jeszcze nawet na obiedzie. On tak teraz zawsze. Pokazuje się w domu w najfantastyczniejszych porach – odpowiada ojciec.

Na stole serwetki haftowane przez matkę nie tyle dobrze, co bardzo kolorowo. Potem wjeżdża na

środek – o, rzewności, rzewności – kawa parująca z białego dzbanka w obrzydliwie napstrzone kwiatuszki. Talerzyki, miseczki, widelczyki, kieliszeczki – niewygodne, niepotrzebne w większości naczynia podwieczorkowego obrzędu.

– Ela jeszcze ciągle na wsi?

Wściekły dzwonek wibrujący uporczywie, przerywany. Ktoś na guziku dzwonka wybija jakiś fantastyczny rytm.

– Aha! – ojciec i matka podrywa się jednocześnie.

– Zaraz, zaraz! – Zosia cwałuje przez przedpokój i otwiera drzwi.

Głos powolny, nonszalancki, kontrastujący niespodziewanie z rytmem dzwonka:

– To co Zosia tak biegnie? Już tyle razy mówiłem, że mi się wcale nie śpieszy. Ja tylko tak sobie.

Jest! Stoi w drzwiach. Fenomenalnie kolorowa koszula z zawiniętymi rękawami. Twarz chłodna, mocna, jakby tylko z grubsza ociosana. Na tej twarzy znać jego 32 lata. Brwi tak jasne, że ich prawie nie widać, oczy wyblakłe, przeogromnie smutne, usta zacięte, pogardliwe.

– Emilku!

– O, jak się masz! Byku! Ależ, wyglądasz, jakby cię ktoś po pysku obił. Jak spuchnięty!

– A, no pewnie! No, pewnie! A cóż byś chciał! – odpowiada bratu, gdy się już oklepują zamasyście i całują trzykrotnie.

– Siadajże – mówi ojciec – Od rana nie było cię w domu.

– Wpadłem na chwilę do Akademii odświeżyć nieco swoje horyzonty tak zwane estetyczne i tak jakoś zeszło.

– Przecież wykładów jeszcze nie ma?

– No, więc właśnie dlatego! – odrzucił sentencjonalnie i tajemniczo. Po czym ostro siorbnął z filiżanki.

– Pytałeś o Elę – powróciła matka. – Tak, jest jeszcze u ciotki. Niech sobie dziewczyna siedzi jak najdłużej. Czasy teraz takie niespokojne.

– Ależ, bo to przesada, moja droga z tą niespokojnością. Już ja ci to mówię, że nic nie będzie – załatwia kwestię jowialnie ojciec.

– Ach, co ty możesz wiedzieć, co ty możesz wiedzieć! – Matka jest nieprzekonana – Masz tu Władeczku, sardynki. Tyle jest w powietrzu zdenerwowania. Ja to dobrze czuję. Niestety tylko wisi na włosku.

Emil znów siorbnął.

– Wojna? Myśli mama?

Ach, ten jego sposób jedzenia! – Przypomniał sobie łsawego Gawlika z sanatorium. Tamten także jadł głośno i to było nieznośne, nie do wytrzymania, mimo prób troskliwego panowania nad własnymi nerwami. Robił to niezdarnie jakoś skradając się jakby do filiżanki, zenując się swoją niezdarnością. Siedzenie z nim przy jednym stole było męką; trzeba było skupiać cały wysiłek woli, żeby nie wstać i nie dać nieznośnemu prykowi w pysk. Natomiast Emil robił to wesoło, zawadiacko, choć jednocześnie dawał do zrozumienia, że postępuje tak umyślnie, na złość wszystkim. I to właśnie było zupełnie miłe.

– Ależ co ty zaraz z tą wojną! – matka zatrzepotała rękami, jakby oganiając się od tamtego pytania. – Nikt tego nie powiedział. Ale jakieś nieszczęście będzie na pewno. To pewne!

– E, no tak, Kaziu, nie można – zaprotestował ojciec: Albo nic nie będzie, albo właśnie wojna. I to jaka! Ho, ho!

– Nic nie będzie! – Emil oparł się obiema rękami o stół i zaczął się bujać na krześle. –

Wszystkie antagonizmy załatwia sport. Rozpętuje żądze walki wśród tłumu, a jednocześnie kameralizuje samą walkę. Już nie jesteśmy zdolni do wielkich wizji wojennych odkąd możemy wyładować swoje podniecenie na kilkusetmetrowym prostokacie, na którym posiano trawkę. A wojna, moi drodzy, była i jest w pierwszym rzędzie kwestią wyobraźni. Ot!

– Cóż ty, Emilku, małą z siebie robisz!

– O, ho, ho! Znakomity pan brat nie jest zdolny obiema częściami swojej szarej i białej masy mózgowej objąć rzeczywistości i sprowadza moje zdanie do rozmiarów wręcz wulgarnych. Ale mniejsza o to!

– Pewnie, że mniejsza! Powiedz lepiej coś zmalował przez tyle czasu.

– Chodzi ci o moje obrazy? Tak, pewnie! To i owo tam mi wyszło. Ale mogę ci z góry powiedzieć, w zaufaniu zresztą, że cała sztuka to jedno wielkie łgarstwo.

– No? Odkąd tak myślisz?

– Zawsze tak myślałem. Nie mówiłem tego przy tobie, bo cię nie chciałem demoralizować.

– Hę? No, nie martw ty się. Będzie wojna, czy nie. W każdym razie będzie mobilizacja. Do wojska wezmą cię na pewno. Tam dopiero zmienisz poglądy na sztukę.

– A broń Boże! Wcale mi tam nie pilno. Bynajmniej nie czuję powołania na bohatera i zostawiam tu pole do działania bohaterom zawodowym.

– No, no! – zamruczał nad kawą ojciec.

– Oczywiście! Uważam, że w dzisiejszych czasach specjalizacji dojdzie wkrótce do tego, że samorzutnie wyłoni się organizacja zawodowa bohaterów, jak istnieje podobna wśród rzeźników czy dyplomatów. Ja, proszę zebranych, stojąc na stanowisku konieczności uświadamiania sobie

własnych działań – uświadamiam sobie doskonale moje tchórzostwo i dlatego ze wszelkiego bohaterskiego działania rezygnuję.

Słuchał cudaczego emilowego perorowania nie myśląc nawet wiele o jego treści. Uważał tylko na ruchy jego rąk zataczających w powietrzu koła i nagle przecinających je na pół. Czuł ogromne podniecenie niewytłumaczone niczym i jednocześnie nie chciał już nic mówić. Mówili zresztą teraz razem: ojciec, matka i Emil. Sprzeczała się o coś, czego nie rozumiał dokładnie. Przytakiwał tylko komuś od czasu do czasu i uśmiechał się. Szumiało mu przyjemnie w głowie, jak po wódce, po tym wszystkim, co go spotkało dzisiaj. Z każdym słowem czyimkolwiek, z każdym ruchem, zalsnieniem coraz to nowej tafli szyb w kredensie przy przesuwającym się blasku zachodzącego słońca – nasycił się tą domową dobrocią, samą jej łatwością, nagłośnością nieoczekiwaną przecież mimo wszystko. Jeszcze niedawno przecież wydałoby mu się to niemożliwe, żeby móc poczuć się znów tak

łatwo szczęśliwy. A teraz przecież był nim, był! Ach, jak jeszcze! Trudno mu było nawet wytłumaczyć dlaczego tak jest. Ale może właśnie dlatego, że tu już nie sięgało żadne analizowanie, grzebanie w sobie – zawsze w końcu bolesne. Może właśnie dlatego.

Całe ciało ogarnęło mu nagle leniwe ciepło. Dłonie zaczęły mu się pocić i drżeć lekko. To drżenie przechodziło wolno coraz dalej. Wkrótce dygotał cały. Ależ tak! Z niemożliwego do wytłumaczenia przeogromnego szczęścia. Było mu po raz pierwszy od bardzo dawna tak dobrze – Zrobiło mu się nagle trochę duszno, gorąco. Poczł cikliwą słodkość podchodzącą ku krtani. Postanowił powiedzieć im teraz, że pójdzie do wojska.

Pochylił się nad stołem i nagle zobaczył fioletowe płyty padające na biały obrus. Krew rzuciła mu się ustami.

Wojciech Wierzejski [Wacław Bojarski]

W jednym z najbliższych numerów „Sztuki i Narodu” rozpoczniemy druk cyklu artykułów pt.

„WIELCY WYCHOWAWCY NARODU”

rozpoczynając od postaci Brzozowskiego Norwida i Mickiewicza

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dwugłos o cyklu poetyckim

„Gdziekolwiek ziemia”

CO PO NAS ZOSTANIE

Będę mówił o postawie autora tomu „Gdziekolwiek ziemia”².

Czy uważam ten problem za ważniejszy od zagadnień czysto estetycznych? Bynajmniej. Najważniejszy w recepcji poezji jest stopień

wzruszenia estetycznego. Postawa autora jest jednak zasadniczą sprężyną w mechanizmie twórczym. Atmosfera emocjonalna i pogląd na świat to grunt, z którego wyrasta dopiero przeżycie estetyczne. Większe, lub mniejsze uświadomienie sobie właściwości tego gruntu równa się, większej lub mniejszej rzetelności przeżycia estetycznego – autora? – tak, ale i czytelnika także. Twórca musi ponosić odpowiedzialność za swoją postawę.

Czytelnik musi tej odpowiedzialności żądać.

Bezimiennemu autorowi cyklu poezji czasy dzisiejsze urastają do rozmiarów katastrofy kosmicznej. Oto dotychczas panowało na świecie szczęście i dobro. Po ziemi chodził człowiek z duszą wypełnioną po brzegi łaskawością Boga. Ale pyszny i głupi nie docenił szczęśliwości pokoju; zaczął przelewać krew. Wojna! Apokaliptyczny Bóg rozgniewany bezmiernym draństwem człowieka wysłał przeciw niemu czterech aniołów zagłady.

Mniejsza w tej chwili o to, że ta koncepcja katastrofy kosmicznej jest pozbawiona artystycznej konsekwencji, bo sam Bóg nie jest tu tylko przyczyną i sędzią, ale raczej kimś dokładającym swoją pięść do ogólnej bijatyki. Mniejsza o to.

W człowieku dzisiejszym – mówi autor cyklu – przeważa pierwiastek podłości. On właśnie niszczy wokół wszystko, co mogło kiedykolwiek powstać, gdy człowiek był lepszy. W szczęku broni ginie kultura, sprawiedliwość, szczęście.

To potworne, potworne, potworne! Wszystkie siły ścierające się dzisiaj są złe już tylko dlatego, że się ścierają. Wojna jest kosmicznym koszmarem, snem chyba. Więc cóż pozostaje pocie?

„Gdziekolwiek ziemia jest snem
nieprzebudzonym jeszcze,
uwierzyć trzeba w kształt,
i kochać senny pozór,
na wietrze budować mgłę
i wpół nie urywać snu.
Gdziekolwiek ziemia jest snem,
tam trzeba dośnić słońca.”

Jeżeli mówię o tej postawie poetyckiej, to nie dla niej samej. Dlatego jeszcze, że jest ona typowa dla większości poetów dzisiejszych.

Bo w tej chwili sytuacja jest taka:

Dzielimy się na dwa obozy. W jednym wy – zmęczeni rzeczywistością, zagubieni w niej, ukrywający twarz w dłoniach, żeby nie oglądać draństwa i walki, łajdactwa i męki. Bo – mówicie – wszystko cokolwiek się dzieje jest dziełem człowieka aż po serce i po mózg nawet wypełnionego złem. Wegetujące gdzieś gdzie dobro, jeśli chce się zachować odpowiednio w skali kosmicznej, może co najwyżej cierpieć. I niszczyć i ustępować i usuwać się powoli za granicę rzeczy i spraw ziemskich.

Tak właśnie! Według was, cokolwiek jest jeszcze na ziemi wartościowego – powinno pogardzić ziemią.

Gdy zło przejawiało się w działaniu, znaczy to, że samo działanie jest z gruntu złe. Należy z nim zerwać i tylko kontemplować rzeczywistość. Można się zamyśleć nad nią, uciec od niej w sen, ale nic ponad to*.

Postawa obozu drugiego – to postawa walki. Jedynie ona odważa się podjąć troskę o człowieka. Kontemplacja, załamanie rąk od tej troski uwalnia, rozgrzesza.

Nie chcemy tego rozgrzeszenia!

W naturze człowieka i w naturze świata walczy ciągle pierwiastek dobra i zła. Jeśli wielkim działaniami, wielkim kataklizmom historycznym zasadnicze akcenty nadaje zło – to przecież dlatego przede wszystkim, że wszelkie dobro programowo

* Charakterystyczne, że ludzi o takiej postawie wypowiada najlepiej liryka. Dla informacji pp. klerków i przedrzeźniaczy dodaję, iż nie uważam każdej liryki za wyraz sennej kontemplacji. Gwiżdżę na normatywność. Notuję tu tylko fakt z historii i literatury współczesnej.

łączy się ze słabością. Zwycięzać ulegając czyli: przetrwać mimo materialnej klęski – to dotychczasowe hasło dobra.

Dzisiaj chodzi o to wreszcie, by dobro otrzymało siłę.

Wojna obecna nie jest dla nas karuzelą szatana. Jest starciem dobra i zła. Nie przeraża nas, że jest to przecież starcie dwóch sił.

Troska o człowieka? Tak, ona przede wszystkim. Ale niech nie przybiera metody budowania mu sennej ojczyzny mgieł, gdy w ojczyźnie ziemskiej żyć mu zbyt ciężko. Sztuka nasza ma być po to, aby stworzyć w człowiekowi postawę mocnego dobra.

Tak trudniej? Zapewne. Ale i piękniej.

Autor tomu „Gdziekolwiek ziemia” jeden z bardzo wielu jego obozu – tak kończy jeden ze swoich wierszy:

„Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń”

Otóż nie!

Choćby miał po nas przemaszerować chamski but kata, choćby wgniół w ziemię nasze ciała, zniszczył, zgniół, rozmazał, choćby zmienił naszą jakże nędzną broń w kupę złomu – to przecież dla przyszłych pokoleń będzie ten nasz krzyk niezaspokojony, niezadławiony, żarliwy – pragnienie ludzkiego dobra.

I choćby zawieść miało wszystko to jedno po nas zostanie na pewno.

Jan Marzec [Wacław Bojarski]

NOWY TOMIK

Okazuje się, że czcigodnego, o wielkiej tradycji powiedzenia o „głębokim, wojennym milczeniu muz”³ nie należy przyjmować bezkrytycznie. W wojennych dniach dzisiejszych – zwłaszcza.

Podziemne nasze życie kulturalne owocuje bowiem bogato, a są nadzieje i nie tylko nadzieje, że owocować będzie dalej – wbrew temu, co powiada przysłowie i co głosi konsekwentna w karczowaniu wszelkiej twórczości polskiej polityka okupanta.

Notujemy jeszcze jedną inicjatywę twórczą, nowy tomik, wydany bezimiennie pt. „Gdziekolwiek ziemia”.

Zeszyt wydany jest schludnie, o wykorzystaniu możliwości nieocenionego dzisiaj powielacza świadczy choćby dwustronicowa („abstrakcyjna”) winieta. Mniej natomiast o smaku jej autora.

Cykl tworzy dziesięć wierszy, przeważnie dłuższych, znajdujących się w pewnym stosunku kompozycyjnym do siebie. Stosunek ten jest na ogół dosyć ścisły, a opiera się o motywizację, konsekwentną jeśli idzie o tzw. koncepcję.

Zaszeregowanie tej poezji pod rubrykę „szkoła” sprawia małą trudność. Nie ulega wątpliwości, że jest to amalgamat stylowy,* w

* Ciekawa jest ta ambiwalencja stylu poetyckiego. Skutki „żenienia się” dwu odrębnych – niemal światopoglądowo odrębnych – stylów mogą być bardzo smutne. Zauważyć to łatwo w twórczości nowego pokolenia literackiego, które tę krystalizację teraz przeżywa, próbują uprościć, przełamać, tak czy owak, zawsze jednak niezdecydowani. Oscylację, bezradność słabszych autorów potęguje szczególna recepcja

którym domieszka tradycji skamandryckich pokutuje w dużym procencie. Przejawia się ona w gromadzeniu zdań, budowanych wieloczłonowo, w sposób „zwykły”, używany w prozie. Forma utworów pozwala na to, gdyż mamy tu do czynienia z wierszem bezrymowym, skłaniającym się raczej do regularności niż toniczności. (15,16,17).

Ruchoma średniówka wywołuje opory w lekturze, szereg usterek rytmicznych można było łatwo poprawić, wystarczyłoby tekst

przejrzeć dokładnie.

Np., jest:

„Przepływa prąd muzyki
przez struny, filary mostów,
wieczorny przewiewa wiatr
i dłonią napłask uderza”.

(„Ruiny mgieł”)

Lepiej:

„Przepływa muzyki prąd... itd.

Uzyskuje się w ten sposób regularny rozkład akcentów i płynność podkreśloną przez monosylabę. Używanie przez autora kadencji oksytonicznej jest jeszcze zbyt ostrożne. W tym typie wiersza monosylaba robi cuda i o tym warto pamiętać.

Procent awangardy to metafora lub porównanie. Do ładniejszych należą:

„Księżyc, pierwszego wieczoru
czerwony i światłem wrący
jakby wtopiony w lód.
A dołem do zbiegu nieba
i silnych krawędzi ciemności

spadała smuga fioletu
skłębionych chmur, jakby rzekę
jak strunę wyjęto z brzegów
i położono na niebo”.

(„Ruiny mgieł”)

Także:

„Paki na węzłach wiatru
to nuty rzucone na niebo.
I dłoń dyrygenta się waży
ostrożnie, lekko w powietrzu:
patrz, biały gołąb okrążył
kopułę drzewa i lot swój
wywinął w ułamek taktu”.

(„Muzyka sfer”)

I:

„A potem noc nadchodzi
i srebrne płoną lichtarze
w ogrodzie na białych kwiatach”.

Cykl „Gdziekolwiek ziemia” jest pokrewny, jeśli idzie o sposób widzenia rzeczy z poezją, reprezentowaną przez autorów „Przyjścia wroga”⁴ i „Trzech zim”⁵.

„Niebo jak strop fabrycznej hali drgającej od maszyn” – to wtórny refleks „Sonaty nieludzkiej”⁶.

Ornamentyka poetycka powtarza się. Powstają skostnienia. Denerwujące w swych nawrotach są porównania i metafory, owinięte wokół tych samych rzeczowników. I tak do wywołania grozy kosmicznej, chaosu żywiołów wystarczają autorowi zasadniczo dwa.

czytelników, zbuntowanych tak bardzo eksperymentowaniem na ich wrażliwości i... wytrzymałości, że poczynają sięgać do „lamusa pamiętek”, czemu i chwila sprzyja. O romantyzm chodzi. Oczywiście.

Przytaczam:

„Drzewa powietrzem owite
Drżą jakby były strunami
i niebo z za widnokregu
jak fala nad ziemią się wznosi
(„Ekloga IV”)

„Oto niebo...
Biegnie kosmiczną falą.
(„Nocna elegia”)

„Wstrząsane niebo wszechświata
falami światła przebiega”.
(„Nocna elegia”)

„Fałduje się falą niebo,
syk prądu jakby struny
Pękniętej akord i drzenie.”
(„Imiona rzek”)

Przykłady nie są wyczerpane. Tego rodzaju powtórzeń jest jeszcze wiele. Autor nadużywa szeregu innych rzeczowników jak: niebo, rzeka, kształt, mgła, światło, cień, wiatr.

Powtórzenia mają swój sens specjalny, jeśli stają się refrenami, nawracającym motywem, który gra jakąś rolę kompozycyjną. W tej funkcji są jedynie usprawiedliwione. Z chwilą, gdy tylko światło, rzeka i mgła mają stworzyć – powiedzmy – aurę grozy kosmicznej – świadczy to albo o ubóstwie językowym poety, albo o manieryzmie. Do drobnych błędów należy mijałek stylistyczny:

„Wstrząsane niebo wszechświata
falami światła przebiegu
i drży jak skóra żołnierza,
gdy się podrywa z okopu.”
(„Nocna elegia”)

Kto się podrywa? Żołnierz czy skóra?

Do wierszy wyróżniających się z tomu zaliczam:

Związłą mocną „Pieśń” (jedyne utwór rymowany) i wiersz pt. „Ruiny mgieł”. Jaskrawych różnic w klasie utworów nie ma.

Ogólny poziom wierszy zawartych w tomie – wyrównany.

Każdy wiersz dociągnięty, zamiar twórczy poprawnie zrealizowany. Brak większych potknięć, lecz także większych blasków.

To i dobrze i źle.

Dobrze, bo to dowód, że autor ma świadomość własnych możliwości, stara się realizować koncepcje dla tych możliwości odpowiednie.

Źle, bo to świadczy o pewnym skostnieniu, co wykazywałem wyżej.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

DEMOKRATYZACJA CZY IGNORANCJA?

Dodatek do nr. 16 „Nowych Dróg” z dn. 5.XII.42r. poświęcony jest zagadnieniu „Demokratyzacji kultury”. Tezy przedstawione tu dotyczą głównie nauki i sztuki. Mają „stworzyć podstawę dla treści... przyjętej przez demokratyzację polską”.

Całość merytorycznie dzieli się na dwie części: dotyczącą poglądu na świat i realizacyjną.

W części pierwszej słusznie podkreślono absurdalność w obecnej chwili koncepcji tzw. „kultury klasowej”.

Ale tylko w tym miejscu autorzy też wytrzymują próbę odważnego myślenia. To już nie logika, ale cywilna odwaga myśli znika, gdy wprowadza się do gry demokratyczny liberalizm.

„Założeniem zasadniczym jest wolny i sprawiedliwy udział wszystkich obywateli w tworzeniu i odbieraniu dóbr kultury”. Chyba, że działalność czyjaś „narusza lub ogranicza prawa innych jednostek”. Wtedy się twórcy „ogranicza

swobodę”. Jednak kontrola nadużyć ma należeć nie do administracji państwowej, lecz do „komórek organizacyjnych życia kulturowego”.

Hipokryzja czy naiwność? A „komórki” od kogo będą zależały? Czy ministerstwo kultury będzie miało własne kulturalne więzienia?

Spróbujmy pomyśleć prościej i odważniej! Ktoś w państwie demokratycznym napisał książkę o tendencjach komunistycznych czy totalistycznych. Państwo konfiskuje mu nakład. Przy recydywie odbiera prawa obywatelskie, wsadza go do więzienia, ba! Posyła nawet do jakiejś Berezy. I co tu „owijać oceany w bawełnę”! Ze swojego/demokratycznego punktu widzenia państwo ma rację. I pisarz też! Państwo chce zachować wewnętrzny spokój – pisarz, jeśli wierzy we własne idee, we własne przeciwne koncepcję szczęścia, niechże nie załamie się mechanistycznymi metodami państwa – swego wroga, niech mu w swej następnej książce odbierze prawa kredytu moralnego u obywateli, niech go zamknie w więzieniu narodowej nieufności.

Bo twórczość jest właśnie walką. Czym większa twórczość, tym walka bardziej zacięta.

A prawa jednostek? W różnych ustrojach wyglądają różnie. Jeśli by np. przyszedł nas ustrój państwowy był (tfu, tfu!) totalny – to „ograniczono by swobodę” autorom „Demokratyzacji kultury”. W imię? Praw jednostki, którą przecież pieczołowicie opiekowałoby się państwo. Tylko, że nawet chamski totalizm w swoim demagogicznym szale stawia sprawę uczciwiej, bo jaśniej.

Demoliberalizm koczy się tam, gdzie zaczyna się cudza i d e a !

W części realizacyjnej – banalne rozważania na temat konieczności kapitału państwowego w narzędziach kultury.

Tezy kończą się zdaniem:

„Jeśli potrzeby kultury nie znajdą pełnego zaspokojenia materialnego... postulaty demokratycznej kultury pozostaną pustym hasłem”.

Ba!

I bez środków materialnych z każdego programu kulturalnego może coś zostać. Idea właśnie.

Ale system demoliberalny nawet się już nie łudzi, że może ją dać.

Jan Marzec [Wacław Bojarski]

PRAWDA?

Wśród głosów prasy o ostatnim numerze „Sztuki i Narodu” – pochlebnych i nieprzyjaznych, ale nacechowanych na ogół krytyczną rzetelnością – nieprzyjemnie wyróżnia się zjadliwy paszkwil zamieszczony w numerze pierwszym „Prawdy Młodych”.

W numerze tym znajduje się artykuł pt. „O co i jak walczyć”. Proszę posłuchać jak się walczy w „Prawdzie Młodych”:

1. Recenzent „Prawdy” stwierdza, że „Sztuka i Naród” jest pismem redagowanym przez młodzież. Stwierdzenie to jest rzucone pozornie mimochodem w formie obiektywnej informacji. A wiemy przecież dokładnie, że redakcji „Prawdy Młodych” znany jest fakt współpracy w naszym gronie ludzi o bardzo szerokiej rozpiętości wieku. Więc?

2. Takie zdanie: „Obok osiągnięć dobrych i złych znajduje się w nim (w „SiN”nie) czasem nader „baniaste”, pseudonaukowym żargonem pisane rozprawki psujące wrażenie całości”.

No tak. W tak osobliwie „recenzowanym” numerze „SiN”u znajdują się dwa artykuły. Jeden z nich został uznany za interesujący – drugi zganiony. Trzeciego nie ma, ale na wszelki

wypadek, gdyby recenzja wypadła jednak jeszcze zbyt pochlebnie w tym drugim wypadku została użyta liczba mnoga („rozprawki”).

Słowo „baniaste” zostało wzięte w cudzysłów na znak, że recenzent świadomie przytacza je z omawianego tekstu. Słowo to zostało przytoczone z naszego artykułu („Klaskanie w szklankę”), gdzie ochrzczono w tym przymiotnikiem metody propagandy niemieckiej. Czy to już nie coś więcej niż zwykła złośliwość?

3. Recenzenta dziwi obecność w tym samym numerze jednocześnie kilku wierszy oraz eseju przeciwstawiającego liryce dramat.

Próba wykrzyka w tych wierszach temperatury dramatycznej – innej niż w większości wierszy współczesnych – byłaby bardziej uczciwa, ba! Ale wymagałaby nieco trudu. Trzeba by np. coś z „recenzowanego” numeru przeczytać. Recenzent najwidoczniej nie zrobił tego, bo nigdzie nie przytacza zarzutów merytorycznych.

4. „Recenzja” kończy się słowami:

„Jesteśmy przekonani, że „Sztuka i Naród” w dalszych etapach swego rozwoju stać się może pismem interesującym nie tylko dla młodzieży”.

Tak. Niesmaczne złośliwości pozbawione dowcipu i godności w ustach ludzi „Prawdy” roszczącej sobie pretensje do wysokiego stylu w metodach postępowania – brzmia, hm, dziwnie.

Jakże łatwo byłoby odpowiedzieć na to coś równie złośliwego i jednak dowcipnego.

Nie robimy tego, bo byłoby to niezgodne n a s z y m s t y l e m .

Metoda „Prawdy Młodych” jest typową, przedwojenną metodą tzw. „dorosłych”. Czyżby przez nich była inspirowana?

Jesteśmy przekonani, że „Prawda Młodych” w dalszych etapach swego rozwoju stać się może pismem interesującym nie tylko dla dorosłych.

Jan Marzec [Wacław Bojarski]

INTERESUJEMY SIĘ SŁOWIAŃSZCZYNĄ

„Biuletyn Słowiański” rok II. Nr 8. –
październik 1942 i nr 9. – listopad 1942.

Mając w rękę dwa numery czasopisma, można się odważyć na możliwe ścisłe zaopiniowanie o jego programie.

Biuletyn Słowiański jest pismem poświęconym zagadnieniu wspólnoty politycznej i kulturalnej narodów słowiańskich. W obecnych czasach, gdy poszczególne periodyki konspiracyjne specjalizują się raczej wyłącznie w pewnych dziedzinach, zjawiskiem rzadkim i przez to tym bardziej cennym jest pismo o charakterze bardziej wielostronnym.

Zawartość każdego z Biuletynu da się zasadniczo podzielić na trzy części: programową, historycznie informacyjną oraz informującą o wydarzeniach bieżących.

Programowo („Rosja nie należy do Słowiańszczyzny”, „Czy nastąpi zmiana”, „Co to jest sławofilizm”) Biuletyn Słowiański wyraża dążenia zorganizowania silnej wspólnoty słowiańskiej opartej na troskliwym kontynuowaniu wspólnych podstaw kulturalnych. Przy takim zauważeniu zwrócenie uwagi na zasadniczą odrębność postawy kulturalnej Rosji prowadzi w konsekwencji do konieczności wykluczenia jej z bloku słowiańskiego, przy równoczesnym zaliczeniu do niego – Ukrainy.

Artykuły historyczne ujęciem i dobrem tematów pogłębiają linie programową. Tak, np. artykuł o poezji ukraińskiej („Poezja wolności”)

wysuwa koncepcję, że elementem organizującym najważniejsze jej osiągnięcia jest idea wolności. Poezja ta „zatłamszona, zastraszona, zbyt słaba, aby teraz właśnie walczyć – czeka na nową wolność – może w potężniejszym wymiarze”.

Artykuł językoznawczy („Polszczyzna wśród swych najbliższych krewniaków”) kończy się słowami: „Polaku! Poszerzaj własne życie, a powiększysz i granice swej mowy”. Artykuł o poezji czeskiej znajduje jej słabość w zbyt niewolniczym sileniu się na „europejskość”.

Dodać tu należy, że w obu artykułach historyczno-literackich są liczne cytowane przekłady na język polski. O ile nie zwodzi nas pobieżne przypomnienie, przekładów tych nie spotykaliśmy nigdzie przed wojną. Także udany

przekład z łużyckiego (Jakub Bart-Ciszyński „Do Słowian”) nie przypomina nam żadnej z opublikowanych dotąd wersji tego osławionego wiersza.

Ostatnia część każdego z numerów składa się z kroniki donoszącej o warunkach życia i zdarzeniach na terenie całej Słowiańszczyzny.

Biuletyn Słowiański jest niewątpliwie pismem redagowanym przez specjalistów w poszczególnych dziedzinach i jako całości utrzymuje rzetelny poziom naukowy. Z ciekawością będziemy śledzili dalszy rozwój tego zjawiska niewątpliwie egzotycznego w naszym społeczeństwie, które do zagadnień słowiańskich zwykło od dawna odnosić się z ignorancją.

a.b.

ZAMORDOWANY

Przez oprawców niemieckich pod koniec ubiegłego roku w nieznanych okolicznościach (we Lwowie) został zamordowany Bruno Schulz, prozaik awangardowy, autor „Sklepów cynamonowych” i „Sanatorium pod klepsydrą”.

POZWOLILIŚMY ZGINĄĆ CZŁOWIEKOWI

W grudniu 1942 r. zmarł Leon Piwiński, jeden z wybitniejszych krytyków literackich okresu międzywojennego.

Śmierć nastąpiła wskutek gruźlicy wywołanej brakiem elementarnych środków wegetacyjnych.

Pamiętajmy: pozwoliliśmy zginąć człowiekowi.

OFIARY

Na stypendium dla Stanisława Łomienia⁷ za pośrednictwem FOP⁸: dwa razy po 200 zł (dwieście)

Na fundusz konkursowy:

Sympatycy z S-a 45 zł, bezimiennie 4 zł, Halinka 10 zł, Podejrzany 10 zł.

Różne: Ewa: dwa razy po 10 zł, Częstochowa – ryzę papieru.

POD MIKROFONEM

JEŃCY W DRODZE

„Kurier Warszawski” 3.12.42

Z mowy Mussoliniego omawiającego liczbę jeńców angielskich:

„Liczby te nie są jednak kompletne, gdyż doliczyć należy angielskich jeńców będących dopiero w drodze”.

Ze swej strony radzimy doliczyć także tych którzy będą w drodze, powinni być w drodze, są za drożdzy, żeby móc, chcieliby być w drodze, drożą się żeby ich chcieć oraz kilku innych.

CHWALEBNI

Sprawozdanie z tejże mowy:

„W związku z lądowaniem oddziałów angielsko-amerykańskich w Afryce północnej Duce wskazał na to, że istotnie miała miejsce tragikomedia, gdyż lądowanie nastąpiło za zgodą francuskich władz wojskowych, nie może więc w żadnym razie być uważane za czyn chwalebny”.

Kto to jest faszysta?

To człowiek, który uważa, że nie jest chwałebnie przyjść do kogoś za jego pozwoleniem. Dopiero kiedy trzeba kuć w mordę faceta, zęby wpuścił, wtedy jest chwałebnie.

FASZYZM POD WPLYWAMI „SZTUKI I NARODU”

Jeszcze Duce:

„Nie można bowiem więcej wymagać od narodu włoskiego, np. stałego entuzjazmu. Entuzjazm jest bowiem do pewnego stopnia

momentem lirycznym zarówno w życiu narodów jak i w życiu prywatnym, tak, że można powiedzieć, iż ci, którzy znajdują się nieustannie w stanie entuzjastycznego zniesienia nie mogą uchodzić za ludzi o zdrowym rozsądku”.

„Sztuka i Naród” jest, jak już od dawna zauważyła słusznie jedna pani z Żoliborza – pismem faszystowskim. Obecnie jednak okazuje się, że to właśnie faszyzm jest kierunkiem znajdującym się pod wpływami „Sztuki i Narodu”.

Wynika to jasno z mowy Duce, który występuje przeciwko liryce niewątpliwie pod sugestią eseju Stanisława Łomienia pt. „Pokolenie liryczne i dramatyczne” z nr.5 „SiNu”.

Tak!

PLACÓWKA DO WYRÓWNAŃ

Generalny gubernator rozporządzeniem z dnia 24.12.1942 powołał do istnienia nową instytucję – a mianowicie placówkę wyrównań.

Zaintrygowani tą piękną nazwą dowiadujemy się że:

„Placówka do wyrównań dla Gub. Gen. jest placówką służbową do wykonania zadań administracyjnych związanych z akcją wyrównania strat majątkowych powstałych na skutek rozporządzenia o traktowaniu majątku osób przynależnych do b. państwa polskiego i rozporządzenia o zajęciu wierzytelności przedwojennych celem wyrównania strat majątkowych”.

Jak się dowiadujemy wkrótce potem zostanie utworzona jeszcze jedna placówka do wyrównań strat majątkowych związanych z istnieniem dotychczasowej placówki do wyrównań.

**PROF. NOWYLAD-EUROPEJSKI
WYKŁADA HISTORIĘ PORÓWNAWCZĄ**

Oto niektóre wyjątki:

Choć wielkim Napoleon,
Jednak nie przewyższył mnie on.

x

Jak porównać mam ten
Drobiażdżek z "Mein Kampfem"?

x

Gdy on zaczął walczyć z Rosją,
Nie pokonał wprost o włos ją.

Zapał mu na mrozach ostygł –
Szybko uciekł z spod Moskwy.

Ja zaś jednym słowem kładę
Stalina pod Stalingradem.

Rosja jest już zwyciężona
Kona i nie może skończyć(choler...!)

x

x

x

Słuchacze chwilowo nieobecni: otoczeni
w zdobytym Stalingradzie --

(krótki komentarz Reuter.)



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury

¹ (z fr.) To się zdarza i musi się zdarzać.

² Tadeuszu Borowski

³ W czasie wojny milczą muzy (łac. *inter arma silent Musae*) –sentencja autorstwa Cycerona

⁴ Jerzego Zagórskiego

⁵ Czesława Miłosza

⁶ Pełen tytuł to „Młyny. Sonata Nieludzka” – poemat Władysława Sebuły z 1934 roku.

⁷ Andrzeja Trzebińskiego

⁸ Front Odrodzenia Polski – działająca w konspiracji w latach 1941-1944 organizacja katolicka, będąca kontynuacją Akcji Katolickiej.